

Bohaterowie nie rodzą się, są stwarzani.

Zrostek

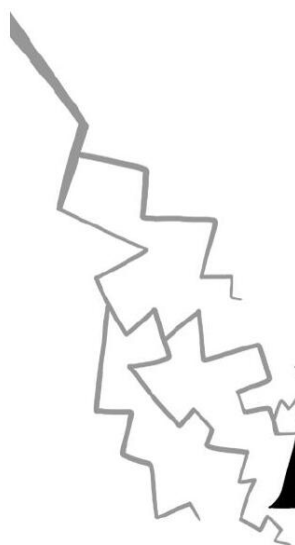
PÁDRAIG KENNY

KROPKA





ZroSteh



PÁDRAIG KENNY

KROPKA





Od autora

Zawsze urzekała mnie prostota pomysłu, na którym oparto fabułę *Frankensteina*. Fascynuje mnie koncepcja w pełni uformowanej istoty, która zostaje wypchnięta w świat i nie ma świadomości, kim ani czym jest. *Stitch (Zrostek)* to moja prywatna próba zgłębienia tej idei. Z pełnym przekonaniem zdecydowałem, że Zrostek nie będzie miał nadprzyrodzonych mocy, nie będzie mu też pisana wielkość. O jego wyjątkowości świadczą bezgraniczny optymizm, wiara w człowieka oraz wrodzona dobroć.

Przystępując do pisania książki, nie myślę o tym, że ma być „o czymś”. Wolę dać się prowadzić bohaterom, odkrywać opowieść. Zrostek nakierował mnie na postać, którą charakteryzują wyobrażenia

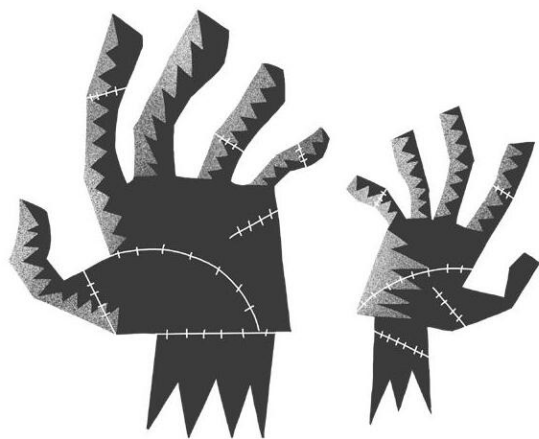
i empatia. Uważam, że empatia jest aktem wyobraźni, a okrucieństwo – jej całkowitym przeciwieństwem. Empatia pozwala wyobrazić sobie, co byśmy czuli na miejscu innych osób. Mam nadzieję, że Zrostek tę cechę w pełni uosabia.

Ostatecznie Zrostek podsunął mi pomysł napisania książki o tym, że – jak to ujął – „każdy jest inny”. O tym, że z braku wyobraźni rodzą się uprzedzenia i nienawiść. O tym, że warto sprawdzić, co kryje się za okrucieństwem, i akceptować innych takimi, jakimi są. Dzięki niemu postanowiłem napisać książkę o śmierci i żałobie, przyjaźni i lojalności.

Mam nadzieję, że czytelniczki i czytelnicy polubią Zrostka tak, jak polubiłem go ja, spojrzą na świat jego oczami i przeżyją przy tym niezapomnianą przygodę.

Pádraig Kenny





Poranek i odwiedziny u Henryka

Zrostek budzi się, jak budził się codziennie przez ostatnie pięćset osiemdziesiąt cztery dni.

„Już pięćset i osiemdziesiąt pięć”, myśli i rysuje kredą znak na ścianie obok łóżka. – Pięćset i osiemdziesiąt pięć – powtarza głośno, bo umie liczyć. A gdy wypowiada te słowa, myśl, że budził się już tyle razy, staje się bardziej rzeczywista, bardziej „rozumiała”, jak mógłby powiedzieć Henryk.

Każdy dzień wygląda tak samo. Zrostek budzi się w swojej izbie na wieży, otoczony kamiennymi ścianami, na rozchybotanym starym łóżku. Przez zasnutę pajęczynami okno wkrada się słońce.

Początek każdego dnia jest taki sam – oczywiście poza Dniem Pierwszym. Dnia Pierwszego ocknął się w innej części zamku. Przed tym dniem nie budził się wcale. Profesor mówił, że to jego Dzień Narodzin. Dzień Pierwszy. I najważniejszy ze wszystkich.

Odtąd Zrostek codziennie oznacza na ścianie kolejne dni, w których się budzi. Sam do końca nie wie po co, ale lubi to robić. Dobrze się wtedy czuje – jakby był częścią świata.

Przy łóżku stoi szafka nocna. Zrostek wyjmuje z jej szuflady kawałek sera, po czym kieruje się do kąta, w którym stoi klatka Brązowej Myszy. Przykłęka, otwiera drzwiczki i wsuwa do środka dłoń, na której leży ser. Uśmiecha się na widok Brązowej Myszy wygrzebującej się z kupki siana na dnie klatki. Podobają mu się jej prędkie ruchy, wiercipięctwo, drganie wąsików i maleńkiego noska.

– Cześć, Brązowa Myszy – mówi Zrostek do skubiącego ser stworzenia. Zwierzęta spożywają jedzenie. Najwyraźniej potrzebują go z jakiegoś powodu, którego Zrostek nie rozumie, ale i tak karmi Brązową Mysz, bo prosił go o to Profesor, gdy uzgadniali warunki, na jakich Zrostek może ją hodować.

Zrostek próbował kiedyś jeść. Nie wyszło mu to. Wziął ziemniaka i kromkę chleba, ugryzł najpierw jedno, a potem drugie, po czym zaczął je obracać w ustach i miażdżyć zębami. Robił to przez dobre pół godziny, aż kęsy zmieniły się w papkowatą masę, którą w końcu wypluł na podłogę. Henryk powiedział mu, że aby jeść, trzeba przede wszystkim czuć głód. A ponieważ Zrostek nie wiedział, co to jest głód, miał poczucie, że nie ma sensu zaprzętać sobie głowy je-dzeniem, skoro omija to niezbędny etap tego procesu.

Obserwuje teraz, jak Brązowa Mysz dojada ser, i zamyka drzwiczki klatki. Nachodzi go nagle chęć spojrzenia w stronę drugiego kąta, w którym stoi pusta klatka, z kruszącym się sianem i pustą miseczką. Ale Zrostek nie odwraca głowy. Nie lubi patrzeć na pustą miskę.

– Pięćset osiemdziesiąt pięć dni, myślałby kto – mruczy pod nosem i wstaje.

Nie wie, dlaczego to powtarza. Może próbuje od-pędzić w ten sposób jakąś myśl? Mówi ciut za głośno.

– Tak po prawdzie to już bardzo dużo dni. Pięćset osiemdziesiąt pięć. To prawie tyle, ile mam palców u dłoni.

Zrostek podnosi ręce, jakby chciał to sobie udowodnić. Jedna jest wyraźnie mniejsza od drugiej. To ta lewa, z długimi, smukłymi palcami. Druga jest wielka i w porównaniu z pierwszą wygląda jak spuchnięta. Jej palce są pękate i grube. Obie dłonie są szare, bo cała skóra Zrostka jest szara, inna niż Profesora. On ma skórę różową, a na jego policzkach, nad białymi wąsami, widnieją czerwone plamy.

Zanim Zrostek wychodzi z pokoju, mówi Brązowej Myszy „do widzenia”.

Schodzi po spiralnych kamiennych schodach. Czuje chłód bijący od omszałych ścian. Zauważa lśniące krople wilgoci na kamieniach oraz swój zamarzający w zimnym powietrzu oddech.

Dociera do końca korytarza. Czeka chwilę i nasłuchuje.

Nic nie słychać.

To dobrze, bo w korytarzu należy zachowywać ciszę. Zrostek rusza przed siebie i dociera do drzwi pokoju Profesora. Chętnie by się zatrzymał i znowu zaczął nasłuchiwać, ale Profesor wyraźnie zaznaczył, że nie wolno mu przeszkadzać. Wydał mu

to polecenie i położył się spać, ponieważ czuł się bardzo zmęczony.

Zrostek skrada się na palcach obok pokoju Profesora i kieruje się w głąb zamku.

Schodzi kolejnymi kręconymi schodami. Mija obszerne sale wypełnione różną maszyną, piorunochronami, gigantycznymi bezpiecznikami oraz metalowymi urządzeniami z pokrętłami, żarówkami, dźwigniami i diodami. Hula tu wiatr, bo to naprawdę ogromne sale. Sale, które wypełniał kiedyś swąd związany z wyładowaniami elektrycznymi.

– *Allo*, Zrostku – mówi Henryk w ten swój osobliwy sposób. Obraca słowa w ustach i można odnieść wrażenie, że wypowiada je powoli, choć wcale tak nie jest.

Henryk tkwi w swojej klatce. Stoi na palcach i wygląda przez małe okienko.

– Skąd wiedziałeś, że to ja, Henryku? – pyta Zrostek.

Henryk się odwraca. Jest znacznie wyższy od Zrostka. I zdecydowanie masywniejszy. Ma na sobie nadzartą przez mole brązową marynarkę, która ledwie mieści jego potężne ramiona. Jego dłonie są ogromne, ale jednakowych rozmiarów, czego



Zrostek mu trochę zazdrości. Prostokątna twarz Henryka jest szara i przecinają ją, podobnie jak twarz Zrostka, zygzakowate linie. Tyle że Zrostek ma ich mniej. Ponadto Profesor zapewniał go, że jego linie są „znacznie subtelniejsze i wytworniejsze”.

Henryk ma szerokie krzaczaste brwi i szopę czarnych włosów, a na nogach ciężkie buciory. *Klap, klap* – słychać czasem, gdy chodzi po drewnianym dnie swojej klatki. Dostał surowy zakaz jej opuszczania, ponieważ jakiś czas temu był niegrzeczny, a Profesor uważa, że grzeczność to podstawa.

– Wiedziałem, że to ty, bo kto inny miałby to być? – pyta Henryk.

– Mógłby to być Profesor – odpowiada Zrostek.

I natychmiast żałuje, że to powiedział, bo Henryk wysuwa dolną wargę, opada na łóżko i robi nadąsaną minę. Kładzie ręce na nogach i patrzy spode łba na Zrostka.

– Profesor do mnie nie przychodzi – odzywa się ponuro. – Profesor mnie nie lubi.

Wygląda na to, że Henryk zaraz się rozplacze, dlatego nieco zaniepokojony Zrostek mówi to, co zawsze w takich sytuacjach:



– Byłeś pierwszy, Henryku.

Henryk się rozchmurza i uśmiecha dumnie.

– To fakt, Zrostku. Byłem pierwszy. – Bierze głęboki wdech, chwyta klapy marynarki i wypina masywną pierś. – Ja, Henryk Oaf. Byłem pierwszy. Przed Zrostkiem. Dlatego jestem najważniejszy z nas wszystkich.

Rechocze gardłowo, tupie to jedną, to drugą nogą i zaczyna się radośnie kołysać w przód i w tył.

– Ja. Henryk. Łu-hu-hu! Oto ja! Bardzo ważny, najcenniejszy, najwartościowniejszy i najdoceńszy przez wszystkich za to, że jestem Henrykiem Oafem, najlepszą wersją siebie.

Zrostek przez dłuższą chwilę nie przerywa Henrykowi, bo gdy ten popada w taki stan, i tak nic nie słyszy.

W końcu Zrostek wykrzykuje:

– Henryku!

Henryk papie radośnie do siebie i kręci ze śmiechem głową, aż podskakuje mu czupryna.

– Henryku! – krzyczy Zrostek jeszcze głośniej.

Henryk rzuca mu zdumione spojrzenie.

– Co tam, Zrostku?



Zrostek wskazuje okno.

– Co robiłeś, gdy wszedłem?

Henryk kieruje kciuk w tę samą stronę.

– A tak sobie patrzyłem.

– Na co sobie patrzyłeś?

Henryk krzywi się, jakby wyczuł zapach zgnilizny.

– Na słońce.

– Oj – mówi Zrostek i już żałuje pytania, bo dobrze wie, co zaraz nastąpi.

– Słońce to coś innego niż księżyc, Zrostku. – Henryk wstaje i przybiera pozę, którą nazywa dostojnościową.

– Obydwa są okrągłe, bez dwóch zdań, czyli sferakularne z natury. To naukowiczne określenie ich okrągłości. Ale na tym ich podobieństwo się kończy, bo księżyc znacznie przewyższa słońce, jeśli chodzi o światło i ciepło.

– Henryku...

– Po pierwsze... – ciągnie Henryk, odliczając na palcach – ...światło księżycy jest kojące, przejściowe i przyjemnie chłodzi oczy. To da się niemal poczuć.

– Henryku...



– Po drugie, na księżyc można patrzeć. Móc na coś patrzeć to móc docenić cechy tego czegoś, a księżyc ma liczne atrybuty.

– Co to są atrybuty?

Henryk władczym gestem krzyżuje ręce na piersi.

– Mieć liczne atrybuty to znaczy zawierać w sobie wiele różnych rzeczy.

– Jak wypełniony worek?

Henryk gładzi się po podbródku i robi mądrą minę.

– Przypuszczam, że na podstawie codziennej obserwacji faktów można by postawić taką hipotezę. Jest pewne określenie zjawiska porównywania jednej rzeczy do drugiej.

Henryk wygląda na urażonego.

– Nie wiem, Zrostku. A co to ja, słownik jestem?

Zrostek się uśmiecha.

– Nic podobnego, Henryku. Nic z tych rzeczy. Jesteś Henrykiem Oafem.

Henryk rozkłada teatralnie ręce i lekko się kłania.

– W całej mej okazałości.

– Miłego dnia, Henryku.

Zrostek już się odwraca i chce odejść, gdy słyszy głos Henryka:

– Ej, Zrostku.

Henryk stoi z twarzą przyciśniętą do prętów klatki. Minę ma błagalną.

– Co, Henryku? – wzdycha Zrostek.

– Myślisz, że może dałoby się... może byłoby możliwe, żebyś... no wiesz...?

Zrostek kręci głową.

– Nie mogę cię wypuścić, Henryku. Profesor powiedział wyraźnie.

– Ale Profesor śpi – mówi cichutkim głosikiem Henryk i składa dłonie jak do snu. – O niczym się nie dowie.

– Dowie się. Profesor wie wszystko.

– Proszę cię, Zrostku. Dosłownie na chwilunię, minutkę, ułameczek sekundy. Proszę.

– Ale ty lubisz niszczyć, Henryku.

Na widok miny Henryka Zrostkowi robi się głupio. Jakby przekazał mu najgorszą możliwą nowinę, a za wspomnianą katastrofę odpowiadałby wyłącznie on, Henryk. Henryk zwiesza głowę.

– Dobrze, Zrostku – odpowiada cicho, smutnym tonem.

Zrostkowi jest przykro, ale Henryka naprawdę nie wolno wypuszczać pod żadnym pozorem. Tak nakazał Profesor, a Profesor wie najlepiej. Poza tym Henryk lubi niszczyć.

Zrostek wychodzi z komnaty Henryka. Nadal bardzo go żałuje i dla odwrócenia uwagi bierze się do swoich obowiązków. Chodzi po zamku i tu coś wytrze, tam zamiecie czy uprzątnie.

Późnym popołudniem wychodzi na dwór i patrzy na ogród – istną feerię barw, bujną, stale rozrastającą się zielenią. Zrostek nie rozumie, jak to się dzieje, że ogród rośnie, powiększa się i rozkrzewia. Fascynująca sprawa.

Podchodzi do krawędzi urwiska, na którym stoi zamek. W oddali, u podnóża góry, widzi wioskę i dymy z kominów domostw. Dostrzega przemieszczające się punkciki i zastanawia się, jak mogłoby być, gdyby znalazł się tam, w dole, i zobaczył wszystko z bliska. „Ciekawe, jak wyglądają ludzie”, myśli. Może podobnie jak Profesor mają różową



skórę i dłonie jednakowej wielkości. Sam nie wie, dlaczego spodziewa się właśnie czegoś takiego.

Jest też ciekaw, co znajduje się za górami i za lasami. Gdy o tym myśli, kręci mu się w głowie i niemal czuje dreszcz ekscytacji.

Zostaje tam aż do zmroku. Niebo ciemnieje. Zapalają się gwiazdy. Wioska wygląda teraz jak mała konstelacja ciepłych światełek.

Zrostek wraca do zamku. Henryk leży już w swoim łóżku i chrapie z twarzą zasłoniętą przedramieniem. Zrostek zamyka cicho drzwi jego komnaty i zostawia go sam na sam z jego snami. Potem mija komnatę Profesora – na paluszkach, żeby mu nie przeszkodzić.

Wchodzi do siebie i zapala świecę. Ze stojącego pod oknem stołu bierze *Wielką księgę wypraw* – prezent od Henryka. Zrostek nie umie czytać, ale lubi oglądać ryciny przedstawiające dalekie lądy, skute lodem albo pokryte dżunglą z lianami, a jego ulubiona ilustracja przedstawia badacza. To potężny, okryty futrem mężczyzna, który stoi podparty pod boki i spogląda na obludzoną tundrę. Zrostek często myśli o tym, jak to jest być podróżnikiem, zwiedzać świat na zewnątrz i docierać do jego

najdalszych krańców. Bardzo chciałby czegoś takiego dokonać.

Teraz zamyka księgę, podpira się pod boki i patrzy na ścianę.

– Pięćset osiemdziesiąt pięć dni – mówi.

Bierze kredę i wyjmuję spod łóżka prostokątną tabliczkę, niemal w całości zapełnioną kredowymi znaczkami. Zaczyna je liczyć.

– Trzysta dwadzieścia sześć.

Rysuje kolejny znak.

– Trzysta dwadzieścia siedem – mówi.

Odkłada tabliczkę, kładzie się do łóżka i zdmuchuje świecę.

Leży na wznak i patrzy na widoczne na suficie cętki księżycowego światła.

– Trzysta dwadzieścia siedem – powtarza.

Profesor już bardzo długo śpi.